

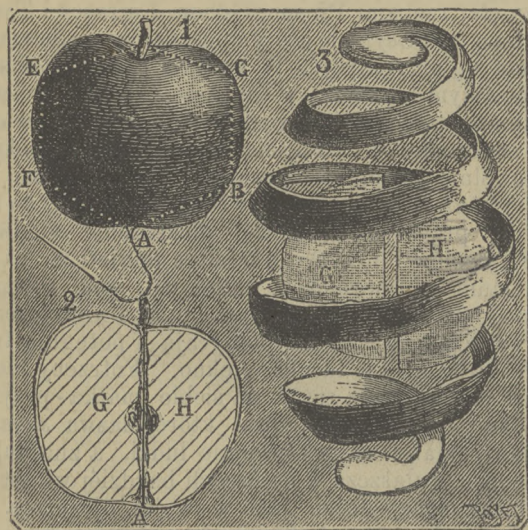


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Niezwykły sposób krajania jabłek.

Niedawno podaliśmy sposób krajania jabłek dość osobliwy, ten jest jeszcze ciekawszy i zabawniejszy; przy pomocy rysunku zapewne nie będzie zbyt trudny do wykonania. Weźmy igłę długą a cienką, (najlepsza będzie używana do czerowania,) i nawleczoną dość mocną nitką przewlecmy od punktu A do punktu B, uważając, aby nie naruszyć naskórki jabłka. Następnie wkładamy igłę w ten sam punkt B, i wyciągamy w punkcie C, i tak dalej przewlekamy nitkę kolejno przez C D, D E, E F, aż póki nie okrąży jabłka i nie powróci do początkowego punktu A.

Po ukończeniu tój czynności przygotowawczej, bierzemy oba końce nitki do ręki i skręcając je mocno, aby się trzymały razem na punkcie A, ciągniemy je mocno. Nitka przecnie jabłko wewnątrz na dwie równe połowy, a jeżeli wszystko będzie ostrożnie i dokładnie wykonane, na zewnątrz skórka pozostanie w całości, tylko nieznaczne przekłócia igły widoczne będą na niej. Potem dopiero zwyczajnym sposobem obiera się skórka, a jabłko rozpada się na dwie części. Jeżeli się tak przygotowane jabłko poda do obierania osobie, nie znającej tój sztuczki, można ją w niemałe zdziwienie wprowadzić, gdy niespodzianie znajduje jabłko rozcięte wewnątrz, choć się całe wydawało.

WSPOMNIENIA MŁODEGO WĘDROWCA

Z PODRÓŻY NAOKOŁO ŚWIATA.

(Dalszy ciąg).

Sułtan zyskiwał ogromnie na tym układzie, bo od bardzo dawna Sarawaka przyprawiała go tylko o koszta i kłopoty. Na takich samych warunkach i z tychże przyczyn, wiele innych krain i rzek okolicznych dołączono następnie do władztwa Sarawaka, które ku ogólnemu zdumieniu, nagle zakwitło dobrobytem i spokojem, pod sprężystym ale sprawiedliwym i dzielnym zarządem sir James'a Brooke. Sir James umarł r. 1868 naznaczony następcą swoim Karola Brooke, synowca swego, który był z razu uczniem marynarki angielskiej a potem wzięwszy dymisyę wstąpił do służby u wuja. Karol Brook jest obecnie od 1868 roku władcą, czyli radzą Sa-

rawaki i sumiennie prowadzi dalej dzieło założyciela państwa. Odwieczne, a straszliwe rozbójnictwo, plaga mórz okolicznych, znika, a Dayaki, wyswobodzeni od strasznego ucisku, uwielbiają teraźniejszego władzę, bojąc się przytem jego sprawiedliwości o tyle, aby spokój i zadowolenie mogły kwitnąć w Sarawaku, która przez to staje się wzorem dla państw okolicznych. Nie starzy jeszcze wcale marynarze pamiętają, jak okręt każdy, wpływający dawniej na tutejsze morza, potrajał baczność i zaprowadzał na pokładzie pewien stan obłężenia, a to celem zabezpieczenia się od rozbójników, którzy na chyżych jak strzały łódeczkach, roili się naokół każdego statku, zjawiając się nawet bardzo daleko od wszelkich wybrzeży, i wdzierając się pod pozorem handlu, lub jakimś innym na pokład, i zalewali go krwią i niweczyli ogniem, za najmniejszą ze strony załogi niebacznością. Dayaki z Sarawaka bywali głównie działającymi w okrutnych tych morderczych napadach; dzisiaj, chociaż stare zakrwawione, poczerńnięte czaszki wiszą jeszcze w ich werandach, są oni prawie już zupełnie spokojnymi ludźmi, gotowymi przytem, na każde wezwanie radży, walczyć dzielnie w jego obronie, jak tego dowiedli podczas buntu Chińczyków tutejszych w r. 1857. Do tego to radży, który umie zniewalać sobie nawet serca dzikich zbójców morskich, płynęliśmy gawędząc, gdy wtem ktoś, płynący jeszcze mniejszą od naszej łódeczki, z góry rzeki, naprzeciw nas, począł nam dawać znaki jakieś. Pan Hith odpowiedział na nie powiewając chustką; dwie łódki dopłynawszy do siebie zatrzymały się, chwiejąc się lekko na spokojnej wodzie i dosyć żwawa rozmowa w miejscowym języku mieszanym, jaki zwykle wytwarza się w podobnych warunkach zetknięcia się różnych narodowości, zawiązała się pomiędzy panem Hith i podróżnym w drugiej łodzi, na którego raz spojrzawszy, nie mogłem już w żaden sposób oczu od niego odwrócić, tak mi się niezmiernie dziwny wydawał, choć nie wiedziałem sam dla czego?... Bo chociaż to był ciemnobrunatny Malajczyk, ubrany po europejsku, to przecież miałem już czas i sposobność oswoić się z najdziwniejszą odzieżą dzikich. Ale na ten raz właśnie najoryginalniejszym było to, że... jakby ci to powiedzieć?... oto, że naprawdę nie było tu nic dziwnego, gdyż brunatny jegomość był ubrany całkowicie i każda sztuka odzienia wyglądała wykwinnie nawet, jakkolwiek barwy i materiały niestosownie jakoś były dobrane a chociaż wszystko ciasne niezmiernie, leżało tak zgrabnie, na doskonale zbudowanym Malajczyku, że żaden krawiec paryzki ani londyński nie potrafiłby zrobić lepij. Ponsowy, a raczej czerwony angielski frak, spodnie w kratę, buty cielistej ale europejsko-cielistej barwy, śnieżny gors koszuli i ciemna kamizelka na której odznaczała się gruba, złota dewizka od zegarka, mały niebieski krawcák i dżokejska czapka, składały całość ubrania. Stojąc w przesadnej trochę postawie na środku łodzi, wykwinął ten, żywo gestykulował w rozmowie z panem Hith. Wszystko to razem składało się na jakąś niepospolitą całość, która też mnie tak zajęła że, wpatrzyłem, się weń, aż usta podobno rozwarły się z podziwu. Dopiero tłumiony śmiech tuż koło mnie, wyrwał mnie z tego osłupienia, a spojrzawszy na pana Antoniego, spostrzegłem, że dusi się od śmiechu patrząc na mnie, zwróciłem się ku panu Hith... i ten zaledwie był w stanie powstrzymać parokszizm śmiechu, którego widocznie ja byłem przyczyną. Gorąco mi się zrobiło, zerwałem się z miejsca, aż się łódź zachwiała, sam nie wiedząc co czynię.

— Jakto, chłopcze kochany—szepnął pan Antoni—czyliż w istocie nie możesz poznać, że z całego ubrania tego wykwintnia, jedna tylko czapeczka *nie jest* malowanym strojem?...

Nie mogłem powstrzymać okrzyku zdziwienia, spojrzawszy raz jeszcze na malajskiego jegomości, a potem, aż się położyłem na dnie łodzi, tak się śmiałem sam z siebie. Bo pan Antoni prawdę powiedział: cały do zbytku wykwinny ubiór na owym Malajczyku, był wymalowany na jego ciele. Jedna, jedyna czapka istniała rzeczywiście. Ach te poły od fraka, te poły... gdybyś je widziała, Wańdziu siostrzyczko, dostałabyś chyba parokszizmu sercowego śmiechu, jaki porywa mnie dotąd, ilekroć o nich pomyślę, i w tej chwili gdy piszę o nich... Oh!

Już minęliśmy tamtą łódź, pożegnani zamaszystemi uklonami dżokejskiej czapeczki, już malajski strojniś znikł nam z oczu, a my jeszcze śmiałyśmy się, aż nam żył kapąły i pan Hith patrząc na nas śmiał się także, chociaż zajmujący ów widok nie był dlań nowością. Opowiedział nam potem, gdyśmy się trochę uspokoili, że ów strojniś jest służącym sir Brands'a, Anglika, osiadłego w Kuszing, który pełen albiońskiej oryginalności, nie żałował pieniędzy na sprawienie sługą, tej dosyć podobno kosztownej toalety, ale za to niezdartej i niezmywającej się nigdy, gdyż jest to pewien rodzaj tatuowania. Zresztą, sam pomyśl podobnej odzieży, jest tu dosyć pospolitym konceptem panów angielskich, chociaż rzadko kto posiada ją w tak całkowitym komplecie, jak ten, który mieliśmy zaszczyt oglądać. Wystrojeni w ten sposób krajowcy bywają podobno bardzo zadowoleni z siebie, jak to i na owym okazie było widocznem. Tymczasem gdyśmy gawędzili, śmiejąc się jeszcze, ukazał się nam zdaleka nawzgórz, na lewym brzegu rzeki, wśród rozległych lasów wspaniały pałac:

— Astana!... zwykle miejsce pobytu radży! — powiedział Hith. Przestałem się nareszcie śmiać i wytrzeszczyłem znowu oczy. Rezydencya to prawdziwie królewska, tak z wierzchu jak wewnątrz, o czem przekonaliśmy się wkrótce, choć w trochę odmiennem może znaczeniu, niż przywykliśmy je dawać temu wyrazowi, gdyż tu przedewszystkiem rozumem przezeń potęgę wyższą od wszelkich ludzkich próbek, potęgę przyrody, przeważającą i pochłaniającą wszystko i królującą po nad wszystkim. Jest zwyczaj u najpospolitszych podróżników porównywać kraje zwrotnikowe bogate w roślinność, z olbrzymią cieplarnią, zdaje mi się, że i ja pisząc do ciebie, użyłem już tego wyrażenia, otóż cofam je teraz, wypłen je z pamięci siostrzyczko, a natomiast podstaw inną nazwę dla tutejszych okolic, która mi się gwałtem ciśnie pod pióro, nazwę: raj! Tak jest; wszakże raj, po persku *parades* po hebrajsku *eden*, co znaczy właściwie, wielki i wspaniały nad wspaniałymi ogród, istniał, wedle podania biblijnego i tradycji ludów, kędyś w tutejszej okolicy właśnie, jakkolwiek jedni mieszczą go w części Azyi przerznętej rzekami Phison, Gehon, Eufrates i Tygrys, a inni tu, lub na tym Ceylonie który opuściliśmy niedawno, nie zdążywszy mu się przypatrzeć. W każdym razie jesteśmy zawsze w tym samym klimacie, w tej samej okolicy nieledwie, w której istniało owo miejsce rozkoszne, kędy żył człowiek pierwotny, stworzony do szczęścia i szczęśliwy, dopóki sam sobie własnowolnie niedoli nie zgotował. Pomyśl tylko, że tu właściwie nie istnieją odmienne pory roku, które bądź co bądź, są gdzieindziej przyczyną syzyfowej, nieustannie odnawiającej się pracy, trudów i przykrych odmian powietrza, na stan zdrowia ujemnie wpływających. Otóż tu pod równikiem niema tej niedogodności. Nieustający upał i niewyczerpana wilgoć, równoważąc się wzajem, podsycają i potęgają tu siły przyrody, rozkwitającej w idealne piękno. Potrzeby ludzkie, zdaje się też jakoby brała tutaj na siebie matka-przyroda; już sama tylko jedna palma sagowa, której nazwa *sagu* znaczy *chleb*, starczyłaby na wyżywienie ludzi, a znajduje się ona tu wszędzie, zwłaszcza w miejscach bardziej wilgotnych, rosnąc, w niezmierniej ilości, jako w swojej ojczyźnie. Pan Antoni powiada, że przeszło 20,000 beczek rocznie, wywozi się ztąd w świat, tego smacznego i pożywnego ziarna. A teraz, spróbuj policzyć ile tu istnieje rodzajów innych palm i drzew, krzewów i roślin, z których każde na swój sposób może wyżywić człowieka! Toż to są całe lasy *jadalne*, jeżeli można tak się wyrazić. Aby ci dać jakieś pojęcie, o różnorodności bogactw roślinnego, tutejszego świata dosyć powiedzieć, że pan Antoni, na prędce, gdyśmy płynęli patrząc na rajskie ogrody zbliżające się niby do nas, a otaczające Astona, wyliczył mi przeszło sześćdziesiąt odmiennych gatunków samego tylko budulcowego drzewa, rosnącego na Borneo!... A przecież wszystko inne w odpowiednim istnieje tu stosunku. I pomyślże teraz sama, co zrobić z upartym nieznosnym człowiekiem, jeżeli jest on niezadowolony, nawet z takiego raju? Ja nie wiem, ale złość mię bierze na niego, bo wyobraż sobie, że mając tu wszystko, czego tylko zapotrzebować może, mając takie mnóstwo różnorodnych dziko rosnących

owoców, iż pan Antoni poprostu nie był w stanie ich zliczyć, i popłataliśmy się w rachunku, otóż mimo to wszystko, człowiek pożąda jeszcze więcej i osadnicy tutajsi, bo nie krajowcy, gwałtem usiłują zmusić grunt do wydawania jeszcze innych płodów! Probują naprzykład koniecznie hodować kakao!... Oh, Wańdziu, zdaje mi się, że gdybyśmy oboje posiadali do użytku choć dziesiątą część płodów jadalnych tutejszych, nigdy nie pożądalibyśmy już więcej, a bez kakao, bez ryżu, który tu także hodują gwałtem, obylibyśmy się zupełnie, ani pomyślawszy o tych przysmakach. Gniew opanował mię na tę nienasyconą chciwość ludzką, gdy pan Antoni rozmawiał o tem z panem Hith: tymczasem łódź nasza zatrzymała się u stóp raju Astana. Miałem zamiar opisać ci dokładnie i szczegółowo całe odwiedzin u tego radży, który, sam nie wiem czemu, wzrósł jeszcze w moim szacunku, gdy go na własne oczy ujrzałem. Tymczasem cały urok zewnętrznego otoczenia zgasł nagle w moich oczach, ochota do notowania przepadła i rajski rozkoszny świat, jakby krepą mi się nakrył, gdy dzielną, potężną i mądrym ów władzcą z przyjacielską prostotą, wiodąc nas przez swe mieszkanie, rzekł cichym spokojnym głosem, tak jakby nas z kimś zapoznawał, wskazując trzy twarzyczki różowe, wyglądające niebieskimi oczyma z trzech portrecików:

— To są moje dzieci... posłuszne, zdrowe, wesołe, chętne do nauki... pomarły w przeciągu dwóch dni, gdy przebywaliśmy razem morze Czerwone, płynąc do Anglii przed trzema laty...

Napróżno siliłbym się opowiedzieć ci sestro, co uczułem na te słowa radży, sir Charles'a Johnson'a Brooke. Opanowała mię boleść jakaś silna i pragnienie ujżenia was natychmiast. Może być, że nie byłoby mi tak okropnie przykro, gdyby toż samo spadło na mnie w jakiej innej chwili, nie wtedy właśnie, gdy życie i świat przedstawiały mi się tak dotykalnie jako raj. Musiało być widocznem na mej twarzy, co się działo w mej duszy, bo po chwili, gdy panowie rozmawiający z sobą o interesach spojrzeli na mnie, zamilkli obaj na razie, a potem radża rzekł:

— Co tobie chłopcze? Może ci upał zaszkodził? — zadzwonił i wchodzącemu Malajczykowi rozkazał przynieść chłodzący napój, a sam tymczasem położył mi rękę na czole, i wciąż patrząc na mnie, nachylił się i spytał pocichu, dziwnie mię odgadując:

— Czy tobie przykro się zrobiło gdy wam opowiadał o moich dzieciach?... — nachylił się jeszcze bardziej i pocałował mię w czoło... Oh, Wańdziu, wstyd powiedzieć... nic innego, tylko musiałem istotnie cierpieć z powodu upału, bo nagle zalałem się łzami, a wszakże nie jestem dzieckiem. Panowie ci przecież rozmawiali spokojnie, chociaż nietylko ten radża nieszczęsny, ale i pan Antoni z pewnością mają serca. Nic innego, tylko chory być trochę musiałem, przytem zmęczony.

— O Boże, pocóż jest nieszczęście na świecie! — zdaje mi się, bo nie zupełnie jestem pewny, że tak, albo coś podobnego powiedziałem wtedy, a radża odpowiedział mi cichym łagodnym głosem:

— Po to, moje dziecko, aby nas przekonywało zawczasu, że jest inny świat, konieczny dla zrównoważenia wszystkiego co nas na tym spotyka, ta równowaga jest to sprawiedliwość, rzeczywista podstawa bytu, a my potrzebujemy przekonania o jej niezaprzeczonym istnieniu, abyśmy mogli żyć i pracować.

Następnego dnia byliśmy obecni posiedzeniu sądu, na którym prezydował radża jak zwykle, a dzicy Dayakowie, z pod innych władz nawet przybywający, zdawali się na jego sąd, w zaściach swoich, popierając osobiście każdy swą sprawę we właściwym dyalekcie, które radża wszystkie rozumie. Hith zapewniał nas, że ci dzicy mają w ogóle bardzo kwiecistą, adwokacką prawie, wymowę, niekiedy poetyczną nawet. Jeden z prawujących się, opisując starożytne pochodzenie swjej rodziny, sięgnął aż do czasów, w których, jak mówił, przodkowie wszystkich Malajczyków żyjących dziś w Sarawaku, mieszkali jeszcze na wyspie Sumatrze i dopiero zamie-

rzali przesiedlić się do „Pulo Kalemantan” jak Malajczycy nazywają Borneo, a od czasu tego mija teraz pokolenie trzydzieste i pierwsze... Pan Antoni, rozumiejący nieźle po tutejszemu, zapisał sobie skwapliwie te słowa, i powiada, że w zestawieniu z innymi tradycjami, mogą one rzucić ważne światło na niektóre kwestye, dotyczące pierwotnych siedlisk i następnych wędrówek ludów po świecie.

Kilku Chińczyków miało także jakąś sprawę na tem posiedzeniu; podlegają oni nader surowym prawom od czasu ostatniego swego powstania w 1857, kiedy to byliby zamordowali zacnego radżę, gdyby wszyscy inni jego poddani, Malajczycy i Dayakowie nie pośpieszyli mu na obronę. Dziwiłem się, że chytry, przewrotni i chciwi Chińczycy nie mają tu wzbronionego pobytu, ale Hith zapewnia, że jest to złe konieczne, bo są oni tak doskonałymi we wszystkich gałęziach pracy, jako rzemieślnicy, rolnicy, kupcy, poszukiwacze płodów ziemnych, iż niezbędnymi są w państwie, wnosząc doń wzór pracy porządnęj, do jakiej krajowcy nie są jeszcze dostatecznie wzwycażeni. Chińczycy przytem są tak zręczni, obrotni i oszczędni, że mogliby się stać wreszcie niebezpiecznymi nawet bez buntu i przemocy, biorąc przewagę z czasem nad krajowcami, ale tego na szczęście nie trzeba się obawiać, gdyż każdy Chińczyk, tylko póty pracuje na obczyźnie, dopóki nie zbierze pewnej potrzebnej mu do jego zamiarów kwoty, a potem wraca z nią do Chin bo żaden z nich nigdy nie wydała się z rodzinnego kraju na zawsze.

Zwiedzaliśmy tu szkołę założoną przez radżę, gdzie stu pięćdziesięciu młodych krajowców, kształci się na uczciwych ludzi, a żołnierze przychodzą w pewnych godzinach na nauki zasadnicze, i to z wielką bardzo ochotą. Dziwna to rzecz doprawdy, zkąd w obecnych czasach, powstaje ta żądza światła tak ogólna, że nawet dzicy ją uczuwają. Jakże dziwne wydają się dzisiaj te powiastki w dawniejszych książkach naszych, o dzieciach, które to uczyć się nie chciały, sprawiając tem zmartwienie rodzicom: gdzież teraz szukać takich dzieci? Trudno ich znaleźć nawet wśród plemion półdzikich. Jakże szybko zmieniają się czasy!

Nazajutrz zwiedziliśmy część miasta Kuszing, zamieszkaną przez Chińczyków, która niedawno uległa pożarowi, co się niezmiernie często podobno u Chińczyków zdarza; pozostało jednakże, kilka bardzo bogatych sklepów i świeżo budująca się pagoda, która przypominała mi wszystkie dotąd widziane obrazki chińskie, ale nie zachwyciła mię wcale. Potem wsiedliśmy w łódź, zawsze z panem Hith, któremu dobry radża pochwalił uprzejmość dla nas i popłynęliśmy znowu w górę rzeki Sarawak, z tój zboczyliśmy na mniejszą rzeczułkę, strumień nieledwie, bardzo przejrzysty i dosyć głęboki, i płynęliśmy zachwycającą, acz odmienną od dotychczas widzianych okolicą. Niekiedy był to las, gęsty i nieprzebyty, spleatany olbrzymimi lianami po nad wazkim strumieniem tak, że płynęliśmy ciemno-zielonym tunelem, do którego nawet równikowe słońce przedrzeć się nie mogło. Wkrótce grunt zaczął się lekko podnosić, olbrzymie różnobarwne kwiaty zwieszały się ze wszech stron z gałęzi drzew, napawając nas rozkoszną wonią, las znikał, i płynęliśmy wśród pól pełnych ananasów, z jednej strony kwitnących fioletowymi kiśćmi, z drugiej zaś błyszczały całe obszary pysznych złocistych owoców, napełniających wonią całą okolicę. Po chwili płynęliśmy znów środkiem bananowych plantacji: po raz to pierwszy widziałem zblizka i ręką dotykałem tych olbrzymich, pół łokciowych owoców i tych liści, długich od trzech do sześciu łokci, z których starczyłoby pewno materiału na całą suknię. Wioslarze nasi i pan Hith doskonale poznawali, które banany zrywać można ze względu na ich dojrzałość, aby nie były mączyste lecz słodko-kwaskowate jeszcze; co do ananasów, tych i ja sam umiałem poznać stopień dojrzałości. Tu i owdzie pośród plantacji takich, błyszczały zdaleka chatki na kurzej stopce, to jest domy krajowców na wysokich zbudowane palach. Malutkie łódeczki, jakby do dzieciennęj zabawki służące i w istocie częstokroć kierowane przez dzieci, uwijały się naokoło nas po rzeczułce. Znowu nagle zagłębiliśmy się w bezdeny las; tu zjawiła się

nam łódeczka sunąca spokojnie z biegiem fali a w łódce stała kobieta dayacka w króciutkiej, ale dosyć sutój spódnicy, jakby ze dwa bananowe liście na nią zużytkowała, stanik zaś tworzyły cienkie mosiężne błyszczące obrączki, które ją jakby spowijały od szyi do pasa. Hith powiedział, że to być musi z pewnością jakaś znakomita pani w dayackim plemieniu. Minęliśmy się zwolna, my wiosłując, ona płynąc z falą siedziała nieruchoma prawie, na małej łódce. Gdy obejrzałem się za nią, wypływała właśnie z leśnego tunelu i słońce nagle oblało ją swym blaskiem, a wtedy kibić jej okrzęcona gęsto, grubym, żółtym drutem zabłysła zupełnie jakby złotym pancerzem odziana; Minerwa, bogini pogańska przyszła mi na myśl, tylko jejmość dayacka nie miała błyszczącego szyszaka.

Wkrótce wypłynęliśmy znowu na otwartą przestrzeń, zasianą z rzadka chatkami, z których każda otoczona jest ogródkiem bardzo starannie uprawionym, a pomiędzy temi ogródkami przechadzało się mnóstwo zwierząt dużych i mniejszych, jednego wyraźnego gatunku, o sierści białej i czarnej, ale tak błyszczącej zdaleka w równikowym słońcu, że zrazu sądziłem, iż to orszak wielkich pań dayackich, przechadza się tam w mosiężnych stanikach; ale nie, były to wyraźnie zwierzęta, o czym przekonałem się niebawem, gdyż tu był kres naszej podróży. Wsiadłszy na ląd pod przewodnictwem Hith'a, szliśmy pomiędzy owemi ślicznymi ogródkami; zaraz też spotkaliśmy się, z owym tak świetnym orszakiem nieznanym mi zwierzęt; jakoż, nawet zbliżka nie poznawałem ich jeszcze, aż gdy rozległ się kwik przeraźliwy, i charakterystyczne „roch roch” dorosłych, i niemniej charakterystyczne „uj uj” zachwycających niedorostków, dopiero pojąłem z czym mam do czynienia. Ale bo też cała owa ukwiecona garść domków, była to wioska chińska, a Chińczycy hodujący ze szczególnem zamięłowaniem kłapouchą trzodę, umieją utrzymać ją w tak niesłychanym porządku, w tak lśniącej czystości, że nawet stojąc pośród tych eleganckich chińskich wychowalców, jeszcze pan Antoni i ja, nie mogliśmy oczom własnym, i uszom nawet uwierzyć... zwłaszcza przypominając sobie okazy tegoż gatunku dawniej w Europie widywane.

— Jeżeli tak — zawoła wreszcie pan Antoni — to pokazuje się, że wpływ wychowania ma daleko rozleglejsze granice niż sądziłem dotąd.

Wsiadłszy do tramwaju, tak jest, Wańdziu, do tramwaju pojechaliśmy, po drewnianych szynach wprowadzie, do... kopalni złota! W rzeczywistości wydobywano tu kiedyś złoto, ale pierwsi przedsiębiorcy porzucili tę robotę, bo nie mieli odpowiednich zysków. Obecnie mnóstwo Chińczyków kiwa się tam na brzegach malutkiej strugi, obstawionej ogromnemi płaskimi naczyniami, myjąc, płószcząc i przemywając ziemię tak zaciekle, od rana do nocy, jakby życie i zbawienie duszy od tej roboty zależało, w istocie, zdarza im się po długiej pracy otrzymać czasem odrobinę złotego pyłu... Z ogromnym kosztem i nakładem sprowadzili sobie nawet maszynę parową, do wypompowywania wody, która, zalewając każdy dołek wykopany, utrudniała im robotę. Patrząc na nich jak na waryatów, którzy zmysły postradali z chciwości, ale, gdy pomyślałem, że jedynym celem każdego z tych ciężko pracujących robotników jest, tylko zdobycie pewnej kwoty, z którą ma pośpieszyć do oczekującej go z upragnieniem rodziny... przestałem im się dziwić, a nawet spoglądałem na nich z mimowolnym szacunkiem. Cóż to za sprzeczność moja Wandziu! słyszymy nieraz u nas w kraju o ludziach, którzy, mając choćby trochę pieniędzy, zaraz śpieszą do cudzych krajów często z prawdziwym uszczerbkiem, nie tylko już ogólnego dobrobytu, ale nawet z rzeczywistą szkodą swojej rodziny i swoich własnych interesów. Czyż nie lepiej robi Chińczyk, pracujący za granicą, ażeby zebrać pieniądze dla swoich?

(d. c. n.)

POGADANKA NAUKOWA.

— Ojcie! zawołała Józia—przyglądając się obrazowi, przedstawiającemu kilka okrętów na morzu. Te okręty mogą się zbliżyć do lądu, bo znajdują się w pobliżu brzegu, ale słyszałam, że morze jest tak wielkie, iż częstokroć płynie się po niem dwa lub więcej tygodni, a nic się nie widzi oprócz wody i nieba. Jakże wtedy mogą wiedzieć ludzie w jakim należy płynąć kierunku?

— Jakaś ty dziwna, wtrącił nieco od niej starszy Zygmuntek, czy nie wiesz, że można się kierować według słońca i gwiazd.

— Masz słusność mój synu, rzekł ojciec, ale pamiętaj, że na morzu niebo jest często zachmurzone, a powietrze przenika mgłą gęsta tak, że przez kilka dni i nocy z rzędu nie widać ani słońca, ani gwiazd. Jakże wtedy żeglarze sobie radzą?

Zygmuntek namyślał się przez niejaki czas, lecz nie wiedział co odpowiedzieć,

— Sam powiedziałeś, że aby iść, jechać lub płynąć w oznaczonym kierunku, trzeba znać cztery strony świata, a raczej jedną, bo jeśli wiesz gdzie jest północ i zwrócisz się do niej twarzą, to po za tobą będzie południe, po prawej ręce wschód, a po lewej zachód. Idzie więc tylko o to, żeby wiedzieć jedną stronę świata; ale jakże byś sobie poradził, gdyby gęsta mgła nie dozwoliła ci we dnie ujrzeć położenia słońca, a w nocy gwiazd?

— Sam nie wiem co bym robił, rzekł zafrasowany Zygmuntek, pewno bym się zabłąkał na morzu i wraz z moim okrętem utonął.

— Tak jest, zabłąkałbyś się ze swym okrętem, nie wiedziałbyś gdzie się znajdujesz, mógłbyś sądzić, że jesteś w pobliżu Hiszpanii a tymczasem byłbyś około brzegów północnej Ameryki. Dla tego też przed parą tysiącami lat rzadko kto odważał się puszczać na odkryte morze; każdy starał się płynąć niedaleko brzegu. Dziś i mniej odważni ludzie płyną po otwartym morzu i nie potrzebują pilnować się brzegu, bo posiadają małe narzędzie zwane kompasem, przy pomocy którego, w każdej chwili mogą oznaczyć miejsce, w jakim się znajdują. Narzędzie to wynalazł w wieku XIII-tym pewien mieszczanin włoski, a odtąd kapitanowie okrętów podróżując po morzu, nie potrzebują radzić się słońca ani gwiazd, lecz spoglądają na okrągłe pudełko, w którym znajduje się zawieszona kilka cali długa, z obu stron dosyć ostro zakończona igła magnesowa. Koniec tej igły zawsze wskazuje północ. Żeglarz spoglądając na nią, wie dokąd płynie.

— Teraz więc chcąc się kierować na morzu, można się obejść bez światła słonecznego? — zapytał syn.

— Tak jest — rzekł ojciec, dziś każdy swobodnie płynie po morzu, bo to gościniec obszerny. Jedna jest tylko obawa: żeby jeden okręt nie uderzył o drugi, gdyż wtedy obu zagraża wielkie niebezpieczeństwo; wówczas tylko trzeba płynąć z wielką ostrożnością, kiedy się okręt zbliża do lądu. Bo trzeba wam wiedzieć dzieci moje, że przeważnie dwojakiego rodzaju są brzegi morskie; albo bardzo płaskie, piaszczyste, albo strome i skaliste. Oba te rodzaje brzegów zarówno są niebezpieczne, szczególnie w nocy, bo na nich z wielką łatwością okręta rozbić się mogą. Czy wiecie co uczyniono dla uchronienia okrętów od tego niebezpieczeństwa? Oto oświetlono morze, a raczej brzeg morski.

— Jako, oświetlono morze? — zawołał Zygmunt.

— Tak jest — odrzekł ojciec. Jeżeli kiedy będziesz w Ostendzie, gdzie są słynne kąpiele morskie, to wejdź na latarnię morską. Jest to bardzo wysoka i silnie zbudowana kamienna wieża, na jej szczycie znajduje się olbrzymia latarnia, do której codziennie wlewają garniec, a nawet więcej oleju. W odległości pół mili, po obu stronach tej latarni znajdują się inne, zbudowane mniej kosztownie. Podobnych latarni znajduje się bardzo wiele na całym wybrzeżu morskim Belgii. Każda latarnia pokryta jest szkłem, różnej

DO LASU.

Hęj pod lasem tam leszczyna
Od orzechów aż się zgina,
Skaczą pośród nich wiewiórki
Znoszą zapas do komórki,
I z sąsiedztwa buja pszczoła,
Zbiera miodek dookoła:
Pójdź braciszku, pójdź do lasu
Ludziom trzeba też zapasu,
Weźmy koszyk i króbeczki,
Bierzmy przykład z wiewióreczki.



barwy. Żeglarze doskonale je znają, tak że po kolorze światła, zaraz poznać mogą, przy jakim brzegu się znajdują i przedsięwzięć odpowiednie ostrożności.

Henryk Wernic.

Wyrocznia Heraklidów.

OBRAZEK Z DZIEJÓW GRECKICH.

Pod cudnem pogodą swą greckiem niebem, na między-morzu korynckiem, w owych odległych wiekach, kiedy to

jeszcze starożytne miasto Korynt istniało w całej swój sławie i potęgę, stał bogaty, acz na prędcę wzniesiony namiot, a w nim dogasał ciężko ranny wojownik, Hyllus, syn Heraklesa, król doryjski. Potężne mury „Akrokorinthos”, (warowni korynckiej) błyszczały w słońcu na szczycie góry 2,100 stóp wysokości, mnóstwo pięknych świątyń i wspaniałych gmachów ukazywało się poniżej, trzy pyszne porty wieńcem bogatym otaczały to gniazdo potęgi, pełne gwaru, ruchu i życia.

Za to dalej, w ciszy i cieniu doliny, w bogatym, powyżej wspomnianym namiocie panował majestat śmierci. Zastęp wojowników otaczał namiot z daleka w pełnych, powagi i smutku postawach. Wewnątrz, przy łóżu ojca, usypiające-

go ostatnim snem bohaterów, stało trzech młodzieńców: Temenus, Arystodem i Kresfontes; wszyscy to widzieli po pewnych, niemylnych oznakach że koniec się zbliża; stali nieruchomi, na wskroś przejęci uszanowaniem, tem większem, że umierający skutkiem pojedynku bohater wcale nawet zwyciężonym nie był, lecz obaj przeciwnicy po uporczywój, wzorowój walce, na którą całe ogromne grono dzielnych wojowników z przejęciem patrzyło, zadali sobie rany wzajemne tak ciężkie, że świadkowie zażądali dla nich spoczynku, umyślnie ku dalszemu przedłużeniu walki wzorowój dla młodzieży. I otóż z tych ran, w czasie tego chwilowego zawieszenia broni, jeden z walczących umierał. W ciszy i spokoju, nagle ocknął się umierający, powiódł z wolna spokojnem okiem w około, zatrzymał wzrok na synach i rzekł wyraźnym, spokojnym głosem:

— Przystąpcie, mężowie, bo głos mój słabnie, a chcę mówić!

Synowie przystąpili doń bliżej, a ojciec mówił dalej:

— Czuję, że duch mój wkrótce odłączy się od ciała, i dla tego chcę pomówić z wami, zanim odszedłszy do nadziadów naszych, nie będę mógł udzielać wam więcej rad ojcowskich. Oto niedawno wy i większa część wojowników naszych, byliście świadkami sprzeczki mojej i wynikłego ztąd pojedynku, i wiecie, że prawość po mojej była stronie. Wiedzieć także, że ojciec mój, bohater Herakles, przed laty przybył z odległych krajów tu, do osiedlonych z dawną Doryjczyków, walczył za nich w potrzebie siłą ramienia i mądrością rozumu, ponieważ zabrakło im chwilowo dzielnego wodza, i zwyciężył nieprzyjanych Lapitów. Za to, w nagrodę otrzymał od króla doryjskiego Egimiusza dostojęństwo królewskie i trzecią część kraju. Następnie musiał ojciec mój dobrze wywiązać się z obowiązków swoich, kiedy moi, synowie Heraklesa, powierzył Egimiusz rządy państwa swojego.

Wielkim zaszczytem jest być królem z rodu, ale stokroć większym, zostać królem z wyboru, jakim ja właśnie byłem. Zaszczyt ów jednakże wkładał tem większe na mnie obowiązki, i przeto postanowiłem odzyskać Myceny, podstępem wydarte memu ojcu; dla tego to w trzecim roku chlubnego mego panowania urządziłem wojenną wyprawę, lecz najprzód wielkie dary poniosłem do świątyni i pytałem wyroczni o przyszłe losy moje, a wyrocznia odpowiedziała, że: „Heraklidom pomyślnie się powiedzie na cieśninie wodnój”. Odtąd to, pewny wygranej, chcąc sprawdzić prorocstwo, tem usilniej starałem się wywołać walkę tu na cieśninie wodnój, aż wywołałem, w tem zdarzył się pojedynek, którego byliście świadkami, i... ze skutków rany umieram.

Dla nieoświeconych ludzi zdawałoby się zatem, że wyrocznia pomyliła się; ale my jesteśmy oświeceni, my wiemy, że wyrocznia nie może się pomylić, ponieważ jest ona tylko przecuciem tego, co ma być, niby wstecznem echem, czyli wstecznem odbiciem głosu, tak samo, jak zwykłe echo jest odbiciem głosu obecnem; zatem musi być w niej prawda, którą ja źle tylko zrozumiałem, i przeto umieram. Lecz wy, synowie moi, skorzystajcie z przykładu mego, postarajcie się lepiej zrozumieć słowa wyroczni, a wtedy będziecie szczęśliwymi zwycięzcami, i oswobodzicie z ucisku tutejszy lud cierpiący, i sami będziecie panowali szczęśliwie nad szczęśliwymi, gdy Heraklidom „pomyślnie się powiedzie na cieśninie wodnój”.

Te słowa wyrzekłszy, król Hyllus żyć przestał, pozostawiając synom swym zagadkę trudną do rozwiązania. Oddano wszelką część należną zwłokom króla wojownika, a potem synowie jego poczęli rozmyślać, jakby uczynić zadość ostatnim słowom jego, które w Grecyi, dla synów, bywały także świętością, i przepowiednią, to jest niby echem przyszłości, jako wychodzące z ust umierającego ojca. A wtem przyszedł do namiotu starszych braci najmłodszy Kresfontes, i rzekł:

— Oto rozwiązałem zagadkę, rozumiem teraz, co nakazują nam czynić ostatnie słowa ojca naszego.

— Co takiego? mów! — powiedzieli Temenus i Arystodem. A na to odrzekł Kresfontes:

— Zastanówcie się tylko dobrze nad słowami wyroczni,

powtarzanemi przez ojca naszego, a zrozumiecie ich tajemne znaczenie „Heraklidom pomyślnie się powiedzie na cieśninie wodnój”. Czyliż to nie znaczy, że wtedy tylko będziemy zwycięzcami, gdy tak się okoliczności złożą, że wszyscy my Heraklidzi, czyli potomkowie Heraklesa, razem i jednomyślnie walczyć, czy też w jaki bądź sposób działać będziemy na jakieś wodnój cieśninie; a czyliż w takich to okolicznościach walczył niedawno ojciec nasz, Hyllas?... Odpowiedzcie mi na to pytanie, o bracia!

— Zaprawdę — przyznali bracia — nie w takich walczył Hyllus okolicznościach, bo najprzód walczył w pojedynku, a więc sam jeden Heraklida, potem walczył przeciw dalekiemu wprawdzie, lecz zawsze powinowatemu swemu, a więc także przeciw Heraklidzie; jakże zatem Heraklidom powieść się miało, jeżeli sami przeciw sobie walczyli?...

— Widzicie zatem — odparł Kresfontes — że spełnienie wyroczni niemożliwem było i będzie niemożliwem, dopóki nie postawimy się w takich warunkach, jakich właśnie na jej spełnienie potrzeba.

A na to rzekł Temenus:

— Masz słusność, bracie, acz nie powiadasz jeszcze wszystkiego, boć wyrocznia, zapowiadając, że nam się powiedzie na cieśninie wodnój, nie powiedziała, ani na której, ani w jaki sposób; trzeba nam zatem nie wywoływać walki, ponieważ nie wiemy, gdzie ją wywołać należy, lecz być w pogotowiu do niej zawsze, oczekując skinień losu i wtedy dopiero wystąpić do działania, gdy wszystko złoży się wedle przepowiedni.

— Przedewszystkiem jednak, o bracia moi — ozwał się Arystodem — pamiętajmy, że aby mózdz tego dokonać, trzeba nam zawsze wiedzieć wzajem o sobie, co się z którym z nas dzieje, gdzie jest, i jak mu się powodzi; bo jeżeli wyrocznia przez „Heraklidów” rozumie *wszystkich* Heraklidów, to źle byłoby, gdyby którego z nas zbrakło w szeregu w stanowczej chwili; a nawet może należałoby i krewnych naszych dalszych, zjednać dla naszej sprawy, gdyż może przez „Heraklidów” rozumie wyrocznia nietylko cały ród nasz, ale i dalsze jego odrośle, których my głównymi jesteśmy przedstawicielami.

— Tak jest zapewne, i tak uczynić trzeba, jak mówisz — potwierdzili Temenus i Kresfontes.

Tak sobie postanowiwszy, trzej bracia rozeszli się, aby pracować nad spełnieniem swych zamysłów. Najprzód zatem postępując zawsze zgodnie i stając jeden za trzech i trzej za jednego w każdej sprawie, wspierając się wzajem i pomagając sobie, doszli każdy z osobna do wielkiej zamożności i wielkich wpływów; potem, wszelkimi sposobami jednając serca krewnych, choćby najdalszych, wkrótce przywiązali ich do siebie i zjednali sobie wielką potęgę, stając na czele licznego zastępu, krwi węzłami zjednoczonych z sobą wojowników.

A tymczasem mieszkańcy Peloponezu narazili sobie wielu ludzi, czyniąc ich sobie wrogami, a między innymi i Oksylusa Etołczyka. Oksylus przyszedł na ten czas do jednego z braci Heraklidów i rzekł:

— Wiem, o Heraklidzie, że masz upomnieć się u Peloponezjan o krzywdę ojca twego Hyllasa; mnie oni skrzywdzili także, jeżeli zatem chcesz, to pójdźmy przez cieśninę pod Rhium najść ich i zwalczyć, bo znam tamtą okolicę i wiem, że w tem miejscu wtargnąwszy, zwyciężymy.

— Niech tak będzie — odrzekł Heraklid i natychmiast wezwał do wspólnego działania cały ród swój i braci, mówiąc im: — Przybywajcie! słowa wyroczni sprawdzają się, teraz czas upomnieć się o krzywdę ojca Hyllusa.

Wezwani przybyli natychmiast, a gdy spostrzegli, że nie brakło między nimi ani jednego z najdalszych krewnych, otucha wstąpiła w ich serca. Zaczęto obierać wodza, a najstarszy z braci, nie chcąc dawać powodu do zażłości, gdyby jego obrać miano, oświadczył, że Oksylusa Etołczyka wodzem obrać należy, jako najlepiej znającego miejscowość, i wszyscy natychmiast na to się zgodzili, czując, że zgoda jest potrzebną. Następnie pod wodzą Oksylusa Heraklidzi przeprawili się na półwysep, pobili Peloponezjan

i rozdzielili kraj między siebie: Etolczycy otrzymali Elidę, Temenus dostał Argolidę, Arystodem Spartę, a Kresfontes Messenją.

Panowali długo i dzielnie. Odtąd w wielkim rodzie Heraklidów istniał zwyczaj pomiędzy matkami, wychowującymi potomstwo, że gdy dziatwa swawolna posprzeczala się i pognewiała z sobą, matki opowiadały im rodowe podanie o wyroczni, na której Hyllus się zawiódł, a synowie jego zwycięzcami za jej przestroga zostali, zrozumiałwszy z czasem lepiej, tajemnicze jej słów znaczenie, które było po prostu zapewnieniem, że: Heraklidom, to jest całemu zjednoczonemu i wspólnie działającemu rodowi powodzić się musi, ponieważ jedność i zgoda stanowi siłę i jest dowodem rozumu, ten zaś uczy nie wywoływać walki nigdy, lecz zawsze być do niej w pogotowiu, umieć czekać i korzystać z okoliczności.

M. Ziel.

KSIĘGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.

Jeżeli chętnie dzielimy się z wami, kochani czytelnicy, pięknym czynem spełnionym przez człowieka, który tak jak wy chrześcijańskie odebrał wychowanie, to o ileż więcej wart podziwu poganin, szlachetnością swoją zasługujący na to, aby imię jego za przykład było stawiane.

W prowincyi Kiang w Chinach, żył urzędnik, który niesprawiedliwością i przekupstwem, oburzył na siebie całe miasto.

Wiedzano iż krzywdził bez miłosierdzia bezbronne wdowy i sieroty, wydzierając im mienie, aż zdarzyło się raz, że doprowadzony do ostateczności niegodziwością sędziego, kupiec Hoang, nie mógł powstrzymać uniesienia, i widząc jak okrutnik dręczy nową ofiarę, pchnął go publicznie nożem.

Czyn taki musiał być ukarany. Nieszczęśliwy kupiec, ojciec licznej rodziny, zaprowadzony został do więzienia i skazany na śmierć za zabicie urzędnika. Wiadomość ta przejęła żalem całe miasto. Biedna małżonka Hoanga oczekiwała we łzach spełnienia wyroku. Miała ona kilkoro dzieci, najstarszym z nich był czternastoletni Fi-Keu.

Widząc rozpacz matki postanowił dać własne życie w zastępstwie ojca.

Uzyskał posłuchanie u cesarza i przedstawił mu swą prośbę.

Cesarz uczuł się mocno wzruszonym postępkami szlachetnego chłopca, ale chciał wypróbować jego stałość. Pozornie więc przjął ofiarę dziecka, a Fi-Keu, uszczęśliwiony widokiem oswobodzonego ojca, mężnie czekał śmierci.

Czekał daremnie. Cesarz przekonawszy się, że oburzenie kupca było słuszne, a postąpienie jego syna szczerze, ulaskawił obydwóch, obdarzając odtąd względami młodego Chińczyka.

Najnowsza powieść Deotymy.

(Dokończenie).

Elżbieta i Ludmiła pragnęły aby wśród zacnych dzievic, których nie brakło dokoła, Jaś wybrał sobie małżonkę, ale on nie mógł upodobać żadnej, gdyż niezbędnym do tego warunkiem było, aby mu przypominała obie jego matki. Widząc zatem, że już nic po temu nie stoi na przeszkodzie, Elżbieta postanowiła spełnić ślub uczyniony od dawna, wznieśienia szpitala dla trędowatych i na ten cel przebudować poleciła zamek Witaniecki. Ludmiła dopomagała jej w tem

bardzo gorliwie, ofiarując na tenże sam cel odzyskane mienie, z którego już znaczną część rozdała ubogim. Jan postanowił poświęcić się na usługi nieszczęśliwych chorych, uradowany zamiarem matki. Powstał więc niezadługo szpital wspaniały, pełen wygód i rozkoszy jakie w owych czasach nie zawsze bywały udziałem nawet ludzi bogatych. Na domiar szczęścia, zjawił się w Witańcu braciszek Benedykt, towarzysz Jana Carpino, który przynosił brankom w niewoli tatarskiej wieści o Jasiu. Przybytek trędowatych stał się wtedy niby rajem na ziemi dla pobożnych jego mieszkańców. Brat Benedykt został tu kapelanem i nie szczędził duchowych pociech nędzarzom. Upłynęło tak lat kilka, zbliżając wszystkich do kresu ziemskiej podróży. Ludmiła i Elżbieta jednocześnie prawie zaniemogły, a gdy poznały, że zbliża się chwila wyzwolenia ich z ziemskich cierpień i boleści, zapadły w rodzaj nieustannej, słonecznej ekstazy. Jak niegdyś radość rozstrzącała im piersi, gdy po czterdziestu latach wygnania, zbliżały się do wież Krakowa, tak i teraz ogarniał je zawrót szczęścia, gdy czuły, że już, już się zbliżają do najstarszej swojej ojczyzny. Tylko dzisiejsza szczęśliwość była o tyle większą, ile niebo większem jest od ziemi.

A przytem, co za radość, przyjmować ostatnie pomoce duchowne, z ust i rąk brata Benedykta! A potem, te z nim długie, precudne rozmowy! Takie precudne, że wszyscy chorzy i domownicy, tłoczyli się dla ich posłyszenia.

Kiedy niewiasty i Braciszek, zaczęli sobie rozpowiadać o pięknościach tej Nowej Jeruzalem, gdzie mury są z opalu, u baszty z hjacintu, o tych tryumfalnych pochodach, jakimi aniołowie przyjmują bohaterów Cnoty, a nakoniec o tych ucztach Miłości, w których dusza dopiero poznaje co to jest „Świętych obcowanie”, wtedy słuchaczom usta drżały, oczy się zapalały, i wszystkich aż brała oskoma do jaknajrychlejszego wynoszenia się z ziemi.

Tylko Jan chodził jak bez głowy, zdawało się, że nie rozumie owych zachwycających rozmów. Kiedy przystępował do Mateczek, to z uśmiechem święcie udawanym, ale co chwila przystawał po kątach, głowę tulił do ściany, i ręką tłukł piersi, aby w nich zadławić rozrywające łkanie.

Jednakże matka, po całych godzinach udzielała mu rad i ukojeń, brat Benedykt i Ludmiła pomagali żarliwie, tak że w końcu, i jego serce wymówiło: „Bądź wola twoja!” I kiedy już się żegnano, to nie słowami rozpaczy, ale najrozkoszniejszą z obietnic:

— Do zobaczenia, synku!

— Do zobaczenia, matuchno! I jedna i druga! Ach, do zobaczenia!

Lekko niewiasty chorowały, lekki był ich koniec.

Ludmiła „odleciała” pierwsza. Elżbieta, w kilka dni po niej.

Pochowano je w jednym grobie, na którym Jan kazał wyrzeć napis, ułożony ze słów Ojca Pawła:

MIŁOWAŁY SIĘ BARDZO W PANU,
ALBOWIEM JE POŁĄCZYŁ JEDNĄ GAŁĄZKĄ
CIERNIU.

Wieść o śmierci „brankę”, poruszyła najdalsze okolice. Po wszystkich drogach, tłumy ciągnęły, a ciągnęły na pogrzeb. Nawet z Krakowa zjechało mnóstwo rycerstwa i mieszczan. Chłopi Witanieccy, ubodzy, a zwłaszcza też Łazarze, płakali po swoich „dobrodziejkach” tak rzewnie, jak one niegdyś płakały nad nimi.

Od zagaśnięcia dwóch niewiast, brat Benedykt zaczął także dogorywać; zdawało mu się, że tylko czekał na udzielenie im ostatniej pociechy, aby i samemu podążyć w tę drogę. Położył się na swoim twardym, zakonnym tapczanie, i tam przebył całe półrocze, w coraz dotkliwszych bólach ciała, w coraz promienniejszem wybijaniu się duszy. Przez te kilka miesięcy, Jan służył mu dniem i nocą, a chory w tajemniczość go powołał w najskrytsze skarbnice „życia wewnętrznego”.

Nakoniec, motyl duszy wywiązał się z powłoki, wywiązał się tym ruchem zwyciężkim, co wygląda nie na skonanie, ale raczej na w niebowzlecenie.

Jeszcze zwłok jego nie zdołano pochować, a już zdumiewające wieści gruchnęły po kraju; mówiono; że wielu chorych (zwłaszcza niewidomych) odzyskało przy tych zwłokach zdrowie. Co ważniejsze, mówiono, że wielu grzeszników uczuło tam skruchę i przysięgło poprawę. To też pamięć brata Benedykta pozostała w sercach nabożnych, otoczona owem „złotem kółkiem”, z jakim pokazał się w przedśmiertnem widzeniu Elżbiety, a imię jego razem z imieniem Jana de Carpino, pozostało w kalendarzu naszych Świętych, zapisane, pod dniem 17-go Marca, jaśniejące niezagasłą glosą „Apostoła Tatarów”.

Jan pozostawszy zupełnie samotnym, zaczął się dokoła rozglądać, i samego siebie zapytywać, coby mógł jeszcze poświęcić Panu Bogu?

Kazał więc na dziedziniec zamkowy poznosić wszystko swoje złoto, srebro i klejnoty, i wszystko rozdał ubogim.

Potem kazał przygotować liczne pergaminy z pieczęciami, wszystkie swoje ziemie, wsie i zamki, zapisał na własność lazaretu, zarząd jego polecił braciom Franciszkanom, wszystkich prosił o modły, a sam poszedł w świat.

Wziął tylko różę Jerychońską, razem z listami matki wsuniętą pod kapiec, kij ujął w rękę, zszedł powoli z góry, kilka razy jeszcze obejrzał się na zamek, zniknął w ciemnych lasach i nigdy nie wrócił.

Różne o nim chodziły wieści.

Jedni mówili, że wstąpił do do Rycerzy Świętego Łazarza, gdzie przebywszy Jobową chorobę, doczekał się obioru na godność wielkiego mistrza.

Inni mówili, że został tylko posługaczem przy lazarecie w Zagościńcu.

Tu czytelnik spyta zadziwiony, dla czego Jan wolał służyć chorym w Zagościńcu, niżeli w swoim Witańcu?

A mój Boże! cóż to jest prostszego? Większa to nierównie ofiara pracować tam, gdzie się jest sługą, niżeli tam, gdzie się jest panem.

W każdym razie, na zamku Witanieckim już go nie ujrano.

Tymczasem lazaret kwitnął coraz piękniej. Przez długie, a długie lata, przytulał seciny nieszczęśliwych, kołł tyśiączne bóle.

Jednakże wszystko ma na tej ziemi koniec, nietylko to co dobre i miłe, ale dzięki Bogu! i to co najstraszniejsze. Przyszedł czas, w którym i plaga trądowa zaczęła znikać z Europy. Zwolna, lazarety stawały pustkowiem, tem zupełnie, że zdrowi nie mieli już odwagi na osiedlenie się w ich ścianach. Zwykle też owe ściany rozbierano, czasem je zostawiano powolnemu zniszczeniu.

I Żegnaniec-Witaniec, nieznacznie zaczął się wyludniać.

A kiedy ostatni chory zamknął oczy, kiedy ostatni brat zakonny spostrzegł, że niema już komu służyć, wtedy i tutaj mury stanęły pustką.

Na ścieżkach przez nikogo nie deptanych, przyroda postawiła swoje zielone warownie. Cała góra Żegnaniecka porosła puszcza gęstą i taką wysoką, że drzewa, zarośla, trawy, zalały osypujące się zwałisko. Miejsce przez nikogo nie zwiedzane, wyszło zwolna i z pamięci ludzkiej. Tylko bluszcz,

ten zacny liść przyjaźni, otulając drogie sobie grzyby, cichutkami szelestami, opowiada kwiatom i ptakom, dzieje Elżbiety i Ludmiły.

SYNONIMY J. R.)

Kawior — Bór — Statek — Zabawka — Milczenie — Barwa — Działo.

Znaleźć siedm innnych wyrazów, stanowiących synonimy tych, to jest mających toż samo znaczenie przy odmienieniu brzmieniu. Początkowe litery tych wyrazów powinny utworzyć nazwisko zasłużonej poetki i pisarki współczesnej.

Łamigłówka kryształowa.

(Od Stokrotki z nad Stochodu dla Czeskiej Niezabudki).

1. Spółgłoska.
2. Rzeka wpadająca do Wisły.
3. Przyrząd do mierzenia głębokości wód.
4. Rodzaj lekarstwa.
5. Nazwisko sławnego hetmana.
6. * * * * *
7. Półwysep w Europie.
8. Miasto we Włoszech.
9. Ryba.
10. Rzeka wpadająca do Wołgi.
11. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą imię i nazwisko króla polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go.

S z a r a d y:

Za — pał — ki.

Łamigłówki zgłoskowe:

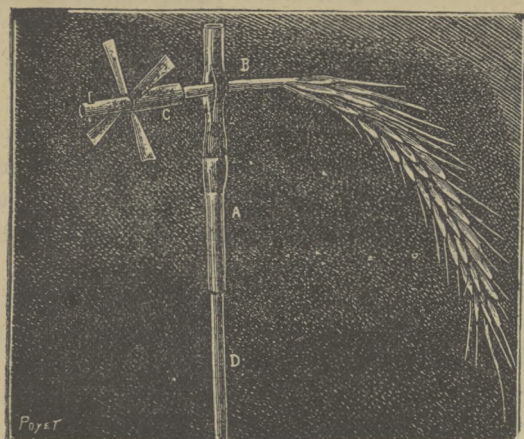
Jałowic — AcH — Nikodem — SalonikI — ObliczE —
BaL — IndyaniN — ElkI — SoleC — KróliK — IdzI.
Jan Sobieski — Chmielnicki.

WALERYA GIEWARTOWSKA.

Przełożona Zakładu Naukowego Żeńskiego
Ogrodowa Nr. 26

Zawiadamia osoby interesowane, że zapis uczennic odbywać się będzie przed wakacjami do końca Czerwca. — Po wakacjach rozpocznie się ¹²/₂₄ Sierpnia. 2—2

TREŚĆ: Niezwykły sposób krajania jakleń (z drzew.) — Wspomnienia młodego wędrowca z podróży naokoło świata (c. d.) — Pogadanka naukowa p. Henryka Wernica. — Do lasu, wiersz (z drzew.) — Wyrocznia Heraklidów, obrazek z dziejów greckich p. M. Ziel. — Księga pamiętnych czynów. — Najnowsza powieść Deotymy (dokończenie). — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Pilna Manusia, wiersz (z drzew.) — Zabawki domowej roboty (z drzew.) — Goniec słońca, bajeczka wschodnia p. M. J. Z. — Imieniny Stasia p. Wu-Eł. — Tajemnica Ignasia i Józki. — Łamigłówka i rozwiązanie, Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Goście ciotki Klotyldy, p. Mrs. Molesworth, przełożyła z angielskiego T. P.



Zabawki domowej roboty.

Podajemy dzisiaj małym czytelnikom wzór wiatraczka ze słomy, służącego zarazem jako chorągiewka wskazująca kierunek wiatru. Złożenie tej zabawki jest nadzwyczaj proste, jednakże krótki jej opis ułatwi jeszcze zadanie. Wybiera się słomkę mocną z kolankiem, którą na rycinie wskazuje litera A, w górnej jej części przecina się szczytykiem otworek przez który przeciąga się druga słomka z kłosem, lit. B, kłos ten tworzy chorągiewkę. Następnie bierze się trzecią słomkę znacznie grubszą, lit. C. Równie ściętym końcem nakłada się ją dość głęboko na słomkę z kłosem, drugi zaś koniec rozcięty wzdłuż na cztery części załamuje się naksztalt wiatraczka, i zabezpiecza ćwieczkiem ze słomy. Ostatecznie w słomkę A wsuwa się cieńszą słomkę D, służącą za oś całemu wiatraczkowi. Tak ukończoną zabawkę zatknąć można w wazonik z ziemią i wystawić na działanie wiatru.

PILNA MANIUSIA.



Czy słońce czy mróz na dworze,
Manusia śpieszy do szkoły,
Nic jej powstrzymać nie może,
Nęca ją z książką mokoły;

Potem wróciwszy ze szkoły
Mamie w tem w owem pomoże,
Dzień za dniem mija wesoły,
Pilnym dziateczkom szczęść Boże!

GNIEC SŁOŃCA.

BAJECZKA WSCHODNIA.

Kiedy Pan Bóg świat stworzył, wspaniałe słońce zajaśniało na niebie, rzuciło na ziemię snop jasnych pro-

mieni i wnet za niemi wysłało skrzydlatego gońca, ażeby pomalował świat pięknymi farbami. Goniec ten słoneczny był biegłym malarzem, stanawszy na ziemi, zaraz się zabrał do roboty. Upatrzył skałę spłaszczoną do rozcierania farb, zrobił ogromny pendzel z gałązek sosnowych, związanych w pęk, potem obejrzał się za farbami.

I wnet z głębi morza wydobyl bryłę farby błękitnej; z pod ziemi, w miejscu, gdzie słońce zachodzi, wyciągnął drugą bryłę farby czerwonej, a w miejscu, gdzie wschodzi księżyc, bryłę farby żółtej. Nie szukał więcej, powiedział sobie, że te trzy farby wystarczą do pomalowania prześlicznie całej ziemi.

— Jakby to pomalować niebo? — mówił goniec słońca sam do siebie — czerwona farba ładna, ale za bardzo jaskrawa. Żółta także męczy wzrok; nie, ani jedna ani druga się tu nie przyda, ale barwa błękitna jest łagodna, miła dla oka, w duszy budzi wzniosłe myśli i słodkie uczucia. Tak, najlepiej będzie pomalować niebo na błękitno. Choć czasem zakryją je szare chmury, zawsze znowu się ukaże, i ludzie z radością witać będą ten cudny błękit.

Gdy pomalował niebo, zaczął rozmyślać, jaka barwa będzie najlepsza dla wód morskich. Lecz powiedział sobie w końcu, że niebo odbije się w przezroczu morza i nada mu swoją barwę błękitną, mniej wyraźną i mieniącą się w ruchliwej fali; więc zostawił wodę bezbarwną.

— Teraz — rzekł — trzeba jakoś ładnie pomalować rośliny, trawy, drzewa, żeby przyjemnie było ludziom patrzeć na nie. Błękitu już mają dosyć na świecie, trzeba wymyślić coś innego. Ale nie zdaje mi się, żeby te jaskrawe farby, czerwona i żółta, ładnie wyglądały na dużych przestrzeniach. Trzeba popробować zmieszać parę farb razem, dodam do błękitnej trochę żółtej... o! jaka ładna barwa.

Nowa barwa naprawdę ślicznie wyglądała, była to barwa zielona, która jest mieszaniną błękitnej z żółtą. Goniec słońca bardzo był rad ze swego pomysłu, pomalował tedy wszystkie rośliny na zielono i przekonał się, że to będzie nie tylko pięknie, lecz zdrowo na oczy.

— Trzeba jednak tę zieloność ożywić — mówił goniec słońca — pomaluję kwiaty rozmaitemi barwami, najlepiej będzie mieszać po dwie, to się nowe odcienie potworzą.

Wziął trochę farby czerwonej, zmieszał ją z żółtą, i zrobiła się z tego świetna farba pomarańczowa; takie były z niej blaski, że goniec słońca niewiele kwiatów nią pomalował, ażeby ludziom nie razić oczu zbyt mocno. Nie żałował tylko pięknej tej farby na pomarańcze, bo przy zielonych liściach jaskrawa ich barwa wydała mu się prześliczna.

Potem zaczął mieszać czerwoną farbę z błękitną i nie mógł się nacieszyć przepyszną barwą, z tej mieszaniny wytworzoną. Był to fiolet i goniec pomalował mnóstwo kwiatów piękną barwą, między innymi bratki, irysy, wreszcie fiołki.

W końcu zmieszał wszystkie trzy farby, to jest błękitną, żółtą i czerwoną; wiecież co się zrobiło? Farba biała jak śnieg. Otóż goniec słońca zaraz pomalował tą ładną farbą jaśminy, lilie białe, część róż, dodał też ję trochę do farby czerwonej, zrobił blado różową i resztę różyczek tak pomalował. Biała ta barwa posłużyła mu do wytworzenia różnych ślicznych odcieni bladoliliowych, cytrynowych, blado niebieskich i blado zielonych, bardzo był rad z tego pomysłu. Nazwał trzy barwy, które najpierw wybrał, błękitną, czerwoną i żółtą, barwami zasadniczymi, a inne, ze zmieszania tamtych powstające, barwami mieszanymi.

Nakoniec, gdy już goniec słońca pomalował wszystko na ziemi, wziął resztki farb na swój ogromny pendzel i rzucił je razem na chmurę, która przysłoniła błękit nieba. I wnet na chmurze ukazał się przepyszny łuk barwny, tęcza. Oprócz tych barw zasadniczych, ukazały się na niej smugi czterech barw mieszanych, pomarańczowej, zielonej, szafirowej i fioletowej.

Gdy wieczorem słońce zaszło, unosząc z sobą owe snopy promieni, spływających na ziemię, wraz z niemi odleciał i goniec słoneczny, noc nastała ciemna, barwy znikły i wszystko stało się czarne. Tak jak białość jest mieszaniną wszystkich barw, tak znów z braku barw wszelkich tworzy się zupełna ciemność, czyli czarność, Lecz codzień wraz ze wschodzącym słońcem i barwy pojawiają się znowu na ziemi.

M. J. Z.

Imieniny Stasia.

W dzień św. Stanisława w domu państwa J. o 6-jej rano panował już ruch niezwykły: przygotowywano się bowiem do wycieczki do Wilanowa.

— „W przecudnym miesiącu Maju!” — zanuciła wiersz Heynego Lonia, pomagając służącej pakować jedzenie w koszyki.

— „W Maju jak w raju” — dodał Janusz, obwijając papierem jakąś ponsowo oprawną książkę, którą zabierał do czytania na majówce. Najmłodszy z trojga rodzeństwa, 10 letni Staś solenizant, oglądał tymczasem „Ducha puszczy” prześliczną powieść p. Zaleskiej, dar imieninowy rodziców.

Po śniadaniu punkt o 8-jej ruszono w drogę: najprzód do rogatek tramwajem, a następnie bryczką. Rodzice ze Stasiem w pośrodku zajęli wyższe siedzenie, na niższym siadła Lonia ze służącą; Janusz usadowił się na ulubionym kozle, przyczem i lejce woźnicy przeszły wkrótce w jego ręce. Po godzinie dobrej jazdy przez Sielce i Służew, stanęli nasi podróżni w Wilanowie.

Po sumie w pięknym kościele parafialnym, udano się na zwiedzenie siedziby króla Jana.

— Proszę ojca — zapytał Staś przed wejściem do pałacu, co znaczy ten napis nad drzwiami: „Quot vetus urbs coluit, nunc villa nova tenet”?

— To znaczy — pochwycił Janusz zarozumiały wielce co do swęj znajomości łaciny, — że „co stare miasto uprawiało, teraz willa nowa posiada”. Rozumiesz?

Staś wzruszył przecząco ramionami.

— Zamierzasz iść do 5-jej klasy — rzekł ojciec, a nie umiesz jeszcze takiego zdania przetłumaczyć. — Słowo *colo* oznacza nie tylko, orać i uprawiać, ale i...

— Czcić, szanować — dokończyła Lonia — trajkotałeś mi wszak wczoraj te „colo, colui, cultum”...

— Nie wiedziałam — rzekła matka — że moja córka wstępuje w ślady słynnej Anny Lefèvre, która przysłuchując się łacińskim lekcjom brata, tyle się nauczyła, że podpowiadała mu całe ustępy przy tłumaczeniu. Lecz cóż znaczy tedy ten napis?

— Ten napis — mówił dalej ojciec — kazał wyryć król Sobieski ku uczczeniu swego pałacu, w którym zgromadził mnóstwo cennych zabytków starej Romy. „Co stare miasto (t. j. Rzym) czciło, teraz willa nowa posiada” — oto znaczenie napisu. Ztąd od „Willa nowa” poszła nazwa Wilanów, przedtem bowiem wieś ta od Milanowskich, poprzednich ję posiadaczy, Milanowem się zwała.

U drzwi pałacu przyjął naszych turystów odźwierny i oprowadził po komnatach. Zwiedzono tedy sypialnię króla, gabinet królowej, zbiór wykopalisk etruskich, galerią obrazów i mnóstwo innych pięknych rzeczy.

Resztę dnia spędzono na zielonej murawie, w cieniu wielkiego dębu, sadzonego ręką zwycięzcy z pod Wiednia. Tu z wielkim apetytem dzieci spożywały smaczny obiadek: kończono go właśnie gdy Staś, zerwawszy się z miejsca w podskokach pobiegł ku drodze, na której dostrzegł towarzystwo, złożone z 6 osób. Była to pani B. z siostrą i czworgiem dzieci, Helą, Zosią, Witoldem i Leonem, wszyscy doskonale znajomi państwa J.

Trudno opisać radości z tak niespodziewanego spotkania. Bawiono się więc i tańczono aż do zmroku. O 9-jej wieczorem dwie bryczki przywiozły rozmarzonych majówkowiczów do Warszawy.

Nie bez słuszności Maj nazwano najpiękniejszym miesiącem w roku, z tęj przyczyny też poświęcono go N. Maryi Pannie — rzekł udając się na spoczynek Janusz.

— Niech więc żyje Maj, niech żyją majówkil — dodał na wpół sennym głosem Staś, uradowany że tak wesoło spędził dzień swych imienin.

Wu - El.

Tajemnica Ignasia i Józki.

— Ignas! Ignas! — wołała młoda wiejska kobieta, stojąc na małym podwórku przed chatą — a czy skaranię i z chłopakiem, gęsi czas w pole wypędzić, a tego jak niema, tak niema.

— Pójdę go poszukam matulku — rzekła mała siedmioletnia dziewczynka — ja go zaraz znajdę, ja wiem gdzie on zawsze siedzi.

— Cicho bądź, albo to twoja głowa szukać chłopaka po polu — ofuknęła matka, zniecierpliwiona widocznie daremnem wołaniem.

— A kiedy to nie w polu — rzekła mała — on zawsze siedzi za dworskim sadem nad wodą, tam wedle tęj leszczyny na górze.

— Chryste Paniel jakby się zsunął z téj górki toby i wpadł do wody, a w tem miejscu rzeka taka głęboka— zawołała kobieta — co ja z tym chłopakiem przecierpię biedy, to ino Bogu wiadomo.

— Polecę po niego matulu — mówiła dziewczynka, nie zważając na poprzednie napomnienie — duchem przylecę.

— Ja ci tu dam chodzenie, niechby tam twoja noga powstała, to dałabym ci pamiętnę, coby ci się drugi raz odechciało nad wodę chodzić — rzekła matka wygrażając małéj — a nie pamiętasz to, jak na wiosnę utopił się Antoniakom chłopiec, choć był większy i starszy od Ignasia, a cóż dopiero od ciebie.

— Bo głupi — rzekła małá rezolutnie — jabym nie wsiadała do łódki sama, i Ignas by nie wsiadł, ale on wlażł, odepchnął, chlup! i tyla.

— Moja ty mądrała — rzekła matka udobruchana rozumem małéj — widzita ją, jak to gadać potrafi. Weź chusteczkę na głowę i wypędź gęsi na pole, ja pójdę poszukam Ignasia, to go do ciebie wyprawię. A w szkodę aby nie puść, bo tam zaraz pański jęczmień, uważaj.

— Cobym ta miała w szkodę wpuszczać, albo to ja taka gapa, a zresztą grzech przecie komu szkodę robić — odpowiedziała zawiązując chusteczkę pod brodę — wielka mi rzecz paść gęsi, jabym i owce potrafiła.

— A co ci za dzieciak i z gadaniem, na każde słowo dziesięć znajdzie — rzekła kobieta, wypędzając stado gęsi za wrota — naści gałązkę, a ono bacz od szkody, a wolno zajmaj, bo małé nie podążą.

— No, no, nie bójta się matusiu, albo mi to pierwszyna — mówiła małá zapędzając długą gałązką idącą gromadkę.

— Józia — zawołała jeszcze matka — a nie pędź przez pole sołtysa, ino prosto drogą.

Ale Józia już tego nie słyszała, bo śpiewała sobie na cały głos:

Hej tam z za góry,
Jadą Mazury.

Kobieta tymczasem zamknawszy chatę na kłódkę, udała się na poszukiwanie chłopca, w miejsce wskazane przez Józię.

I znalazła go rzeczywiście siedzącego na wzgórzu pod krzakiem leszczyny, na kolanach miał rozłożoną książkę, i tak był zatopiony w czytaniu, że nie słyszał jak matka stanęła nad nim.

Drgnął posłyszawszy jój głos.

— Ignas, to ty będziesz bałamucił, a gęsi niema komu w pole wypędzić — rzekła z wymówką, choć nie było gniewu w jój głosie.

Chłopiec zerwał się na nogi, zamknął śpiesznie książkę, i zaczął jąkać:

— Myślałem matusiu, wysłałem że to jeszcze czas duży, tak mi wyszło z pamięci, zapomniałem...

— No, no, nie bałamuć — rzekła matka — zabieraj się i biegaj w pole, tam już Józia gęsi zapędziła. Ale po co ty tu siadasz nad wodą, mało to masz miejsca w chałupie, jeszcze jak się kiedy zapatrzyysz w tę książkę to i do rzeki wpaść możesz.

— O, nie matusiu, nie wpadnę, a tu tak cicho i spokojnie, nikt tędy nie chodzi, tak można rozumieć co się czyta — rzekł chłopiec uradowany, że go ominęło spodziewane połajanie.

— Pospiesz w pole, bo Józia jeszcze małá, może gęsi w szkodę wpuścić, a to i grzech, i wstyd przed ludźmi — mówiła kobieta idąc z chłopcem drogą — a po podwieczorek niech Józia przybiegnie, to i ojcu zaraz poda.

Chłopiec szybko pobiegł w swoją stronę, a kobieta idąc pomrukiwała sama do siebie:

— Istne zadanie i z nauką, ciągle by ino nad tą książką siedział, a taki statek w tym chłopcu jakby jaki stary.

Tymczasem Ignas w kilka minut był już na polu, zastał gąski pasące się spokojnie tam gdzie im było wolno, a Józię śpiewającą wesoło, i wijącą wianuszek z blawatków, których sobie idąc uzbierała.

— A co ta Józia, nie było szkody? — zapytał.

— Co miała być, albo mnie tu niema — odpowiedziała z powagą. — A ciebie matusia szukali, ale ja im powiedziała, że siedzisz pewnikiem pod leszczyną za dworskim sadem, matusia się bała żebyś nie wpadł do wody.

— A przecie nie jestem małé dziecko — rzekł chłopak siadając przy siostrze — żeby to jeszcze ty, taka małá...

— Nie jestem małá — przerwała Józia — i nie jestem głupia żebym się topiła.

— Józia, chcesz będę cię uczył czytać — po chwili milczenia rzekł chłopiec — taka to wielka radość mieć sobie książkę przeczytać.

— A mnie to na co, proboszczem nie będę — odrzekła wzruszając ramionami — naucz mnie lepiej jakiej ładnej śpiewki, bo jo...

— Widzisz, żebyś się uczyła na książce, tobyś nie mówiła jo! — rzekł Ignas.

— Abo to co brzydkiego? — zapytała patrząc na brata ciekawie — widzita go, i matusia tak mówią, i tatuś, a on będzie wydziwiał.

Chłopiec nie wiedział co na to odpowiedzieć, jeszcze sam był młody bardzo, miał dopiero lat dziesięć, zafraśował się, ale po chwili znów rzekł:

— Żebyś umiała czytać, chodziłabyś z książką do kościoła, tak by ci było ładnie.

Ta uwaga trafiła do przekonania małéj.

— Ale kiedy nie mam książki — rzekła wahajaco.

— Ja ci kupię książkę — zawołał chłopak żywo — kupię ci śliczną, w czerwonej okładce.

— Nie masz pieniędzy.

— Będę miał, obaczysz...

Nauka siostry, widocznie chłopcu bardzo leżała na sercu, słyszał bowiem od rodziców, że Józi o parę wiorst do szkoły posyłać nie będą. Matka bała się dla niej różnych w drodze przypadków, to psów, to gadzina mogła wypelzać i ukąsić ją zjadliwie, nawet wilki mogły się znaleźć, choć do lasu było więcej jak mila drogi.

— Wolę że dziewczyna czytać nie będzie umiała — mówiła matka — jak żeby mi jój co złego się stało.

Ale brat nie mógł się na to zgodzić, więc umyślił,

że sam Józię czytać nauczy, to sobie właśnie dziś postanowił, siedząc tak długo pod leszczyną.

Wyciągnął z kieszeni elementarz i zbliżył się z nim do Józi.

— Patrz to jest „a” — rzekł wskazując literę.

— Nie zawracaj mi głowy, patrz oto lepiej na gęsi, widzisz, te niecnoty w jęczmień prosto idą.

I dziewczynka lotem strzały pobiegła zawrócić gęsi od pańskiego jęczmienia.

(d. n.)

Łamigłówka w kwadraciku.

(ułożył Apollo Belwederski).

Z 2 A — 3 K — 2 O i 2 T, ułożyć kwadracik z 4 ciu podziałek, aby odczytać w obu kierunkach: 1. Zwierzę domowe. 2. Rzekę w Rosyi. 3. Przysówek.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 31-go.

Łamigłówki kryształowej:

Z
J A N
L I L J A
Z A L E S K A
F A S K A
A K R
A

Skrzynka do listów.

Zamysł, o którym wspomina *Sarneczka z nad Sanu*, przychodzi do skutku dzięki naszym czytelnikom.

Konwalijska z Jakimowicz ślicznym jest kwiatkiem, ale jako kwiatek nie wie, jak to ludzie rachować się muszą z czasem, i z miejscem tak w Wieczorach, jak i w życiu. Najlepsze nawet łamigłówki czekać muszą kolei. Gołąbka frunęła i buja, gdy wróci do gołębnika redakcyi, natychmiast się odezwie do drogiej siostrzyczki swoich.

P. A. Jur. Przesyłkę szan. pani odebraliśmy i dziękujemy ofiarodawcom w imieniu Zarządu kolonij letnich. Żądane numera oraz katalog posłano.

Pegaz Skrzydlaty zbierze może kiedyś „Żniwo” obfite, jeżeli ciągnął i usilną pracą będzie rozwijał swe zdolności. Gdy tego doczekamy miłą wówczas będzie dla nas pamiątką dziś przesłany nam wierszyk.

Kochamy cię już za twój liścik *Prymulko z nad Ceperki* więc choć niepewność siebie, jest przymiotem dla młodej panienki, ośmiel się i pisuj do nas nadal, tymczasem ściskamy cię serdecznie.

Biała Myszo z Płocka! aż trzy liściki! Co to jest jednak, złośliwość ludzka! do tej pory mówiono o myszkach, że tylko gryźć papiery potrafią...

Przesyłka *Żabci z nad Horynia* nie doszła, znać niepewnym ręką powierzona została.

Błękitnej Kokardce, oraz *Białej Perelce*, serdecznie dziękuje Gołąbka za uczucia jakie dla niej żywią. *Król-Ćwieczek*, mile wi-

tany korespondent, za małego może jest wzrostu, aby „serdecznym uściskiem” inaczej jak na papierze dosięgnąć mógł Gołąbkę? Nie przeskadza ją to wszakże szczerze być wdzięczną za dobre słowo.

Kochana biała Myszo! Mamy jednakowe pseudonimy, ja więc nazwę się „b. M. z Płocka”. Nie wiem czy zechcesz ze mną korespondować, gdy się dowiesz, że mam 9 lat, ale uczę się już dawno. Wieczory czytam od 4 lat, lalkami bawić się nie lubię. Czekam niecierpliwie twojej odpowiedzi, i ściskam cię serdecznie. *Biała Myszo z Płocka.*

Kochana Etno! Podobała mi się twoja odezwa w Wieczorach, piszę więc do ciebie z największą chęcią. Jestem młodsza od ciebie, blondynka; na imię mi Genia; uczę się w domu; muzyką się nie zajmuję, bo nie mam słuchu muzycznego. Mieszkam w Warszawie, a ty gdzie? Ściskam cię i całuję *Świtezianka.*

Kochany Kucyku bułany! Może zechcesz ze mną korespondować, od ciebie zaczynam, bo konie bardzo lubię i mam własnego siwego kuca. Odpisz mi wiele masz lat i jak się nazywasz. Mnie na imię Otton mieszkam w gub. Kijow., ale uczę się w Galicyi w zakładzie OO. Jezuitów w Chyżowie. Mam lat trzynaście i otrzymałem promocję do czwartej klasy, ściska cię serdecznie *Król-Ćwieczek.*

Śliczna moja polska Lilijko! Spełniam twoje życzenie z przyjemnością i donoszę o sobie, że mam lat niespełna trzynaście, na imię mi Stefcia, mieszkam na wsi w witebskiej gubernii, twój pseudonym i imię bardzo mi się podobają. Czy uczysz się latem? Ja bardzo pilnie, bo w jesieni zdaję cztery egzamina. Pisz do mnie i przyjmij serdeczny uścisk od *śpiwnej Liry.*

Najsympatyczniejsza Artystko! Dziękuję ci za liścik i donoszę, że kocham cię serdecznie, że od dwóch miesięcy jestem na wsi, jeżdżę konno i pływam łódką, w tym roku będę na pensyi i przejdę do IV klasy; zimą mieszkam w Petersburgu. Proszę odpisz mi gdzie mieszkasz, czy chodzisz na pensję i do której klasy i czy masz ochotę zostać naprawdę artystką; ściska cię serdecznie, *śpiwna Lira.*

Kochane moje: Jaskółko z nad Ussy i Antko L.! Zdziwił się zapewne, że piszę do ciebie, lecz nie jesteś mi nieznaną, drog. Jaskółko, ucieszyłam się bardzo widząc, żeś dostała nagrodę, za ostatnie konkursowe zadanie. Kim jestem, dowiesz się od twojej mamy, bom jej przyrzekła w Warszawie na wiosnę, że do ciebie napiszę. Jestem twoją imienniczką, mam nadzieję, że mi odpiszesz, ściskam cię droga Jaskółko i Antkę serdecznie. Czemu sobie Antko pseudonimu nie obierze? *Czeska Niezabudka.* Różyczce białej z Wołynia i Gwiazdce Jerozolimskiej przesyłam czule pozdrowienia.

Kochana Marynko z pod Garwolina! Wielką mi sprawił radość twój liścik, mylisz się utrzymując, iż niedawną jestem czytelniczką „Wieczorów” bo już od czterech lat cieszę się ich posiadaniem, lecz jeszcze nigdy nie byłam obdarzona tak długą korespondencją. Należę już do zastępu „staruszek” mając lat 16. Uczę się w domu, otoczona sześcioma braciškami, lecz tak jak ty utyskiwam na brak siostrzyczki. Pewnie używasz teraz wakacji, w jaki sposób i czy wesoło? Odpowiedz mi i nie zrywaj na tych dwóch liścikach naszej listownej znajomości całuję cię serdecznie: *Sarneczka z nad Sanu.*

Kochany Malcze! Za liścik serdecznie ci dziękuję. Nazywasz się Adam S.... szkoda, że nie będziemy mogli się widywać tak często jak pierwsi. Twój *raczy Selen*, dawniej *Serce prawe.*

Kochane: Filaretko i Gałązko paproci, spełniając wasze życzenia piszemy do was: Gwiazdeczka, Powójka i nieznana Halka z Warszawy, prosząc o odpowiedź jak wam się podobała *Częstochowa*, tymczasem ściskamy was serdecznie. Kochana Blondynko z Piotrkowa czy nie jesteś Jadzią B.? jeżeli zgadłam, odpisz *Gwiazdeczce.*

Kochana zwinna Wiewióreczko! Piszę już drugi raz bo czuję dla ciebie wielką sympatię. Z listu do Polki Węgierki wiem jak się nazywasz i jak wyglądasz, lecz donieś mi gdzie mieszkasz? Chciałabym też wiedzieć czy masz rodzeństwo? Ściskam cię moja złota niezliczone razy i proszę byś w swoim serduszkach i dla mnie kącik zostawiła. Twoja *biała Perelka.*